A dragon with large, dark wings is shown in flight, moving from the left side of the frame towards the center. Below the dragon is a dense, dark green forest. In the background, a castle with a prominent tower is visible through a hazy, cloudy sky. The overall tone is atmospheric and dramatic.

KRÓLESTWO CIENI

KSIĘGA 5 KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY

MORGAN RICE

Morgan Rice
Królestwo Cieni
Серия «Крólowie I
Czarnoksiężnicy», книга 5

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=43696167
KRÓLESTWO CIENI KSIĘGA 5 KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY:
ISBN 9781632915290*

Аннотация

Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak The Inheritance Cycle Christophera Paolini.. Najnowsza powieść Rice wciągnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży. The Wanderer, A Literary Journal (dotyczy Powrotu Smoków) KRÓLESTWO CIENI to piąta część bestsellerowej serii fantasy Morgan Rice, KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY (pierwsza część, POWRÓT SMOKÓW, jest do ściągnięcia za darmo) ! W księdze zatytułowanej KRÓLESTWO CIENI, Kyra będzie musiała walczyć o życie w samym środku płonącej stolicy, zaatakowanej przez stado smoków. Jeśli uda jej się przeżyć, wyruszy do Mardy, na poszukiwania magicznej broni, jedynej nadziei Escalonu. By ocalić swój ukochany kraj przed inwazją trolli, zapuści się w najmroczniejsze zakątki tej ponurej krainy. Duncan, uwięziony w pogrążonej w ogniu stolicy, wykorzystuje cały swój

spryt, by zebrać swoich ludzi i razem z nimi uciec tam, gdzie będą mogli przegrupować się i przygotować strategię ataku na Pandezję. Ścigany przez Wezuwiusza i jego armię trolli, Merk opuszcza Wieżę Kos i wraz z córką króla Tarnisa przemierza zdradzieckie wody Zatoki Śmierci, by dotrzeć do twierdzy na wyspie Knossos. Dierdre i Marco zdołają przetrwać falę zniszczenia, która przetoczy się przez Ur. Będą musieli otrząsnąć się po stracie wszystkich, których znali i kochali, by wyruszyć na poszukiwanie jedynej osoby, która może im pomóc: Kyry. Tymczasem Alec płynie wraz z mieszkańcami Zaginionych Wysp z powrotem do Escalonu, w dłoni dzierżąc tajemniczy miecz, który może zmienić wszystko. Nie spodziewa się jednak, że zastanie swój kraj w kompletnej ruinie, opanowany przez hordy smoków. **KRÓLESTWO CIENI** przeniesie cię do świata rycerzy i wojowników, królów i namiestników, honoru i męstwa, magii, przeznaczenia, potworów i smoków. To magiczna opowieść o miłości i złamanych sercach, oszustwach, ambicji i zdradzie. To powieść fantasy w najlepszym wydaniu, która będzie żyć w tobie jeszcze długo po jej przeczytaniu, która wciągnie każdego czytelnika, bez względu na jego płeć czy wiek. Szósta część serii **KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY** ukaże się już wkrótce. Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy po przeczytaniu całej serii **Kręgu Czarnoksiężnika** wciąż pragną więcej. Książki Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabiera nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki.. Obowiązkowa pozycja w bibliotece każdego miłośnika gatunku fantasy. Books and Movie Reviews, Roberto Mattos (dotyczy Powrotu Smoków)

Содержание

ROZDZIAŁ PIERWSZY	18
ROZDZIAŁ DRUGI	23
ROZDZIAŁ TRZECI	31
CHAPTER CZWARTY	35
ROZDZIAŁ PIĄTY	41
ROZDZIAŁ SZÓSTY	48
ROZDZIAŁ SIÓDMY	52
ROZDZIAŁ ÓSMY	55
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	63
ROZDZIAŁ DZIESIĄTY	72
Конец ознакомительного фрагмента.	75

Morgan Rice

KRÓLESTWO CIENI

KSIĘGA 5 KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

Morgan Rice

Morgan Rice plasuje się na samym szczycie listy USA Today najpopularniejszych autorów powieści dla młodzieży. Morgan jest autorką bestsellerowego cyklu fantasy KRAĞ CZARNOKSIEŻNIKA, złożonego z siedemnastu książek; bestsellerowej serii WAMPIRZE DZIENNIKI, złożonej, do tej pory, z jedenastu książek; bestsellerowego cyklu thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonego, do tej pory, z dwóch książek; oraz najnowszej serii fantasy KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY, składającej się z sześciu części. Powieści Morgan dostępne są w wersjach audio i drukowanej, w ponad 25 językach.

PRZEMIENIONA (Księga 1 cyklu Wampirzych Dzienników), ARENA ONE (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), WYPRAWA BOHATERÓW (Księga 1 cyklu Krag

Czarnoksiężnika) oraz POWRÓT SMOKÓW (Księga 1 Królowie i Czarnoksiężnicy) dostępne są nieodpłatnie.

Morgan czeka na wiadomość od Ciebie. Odwiedź jej stronę internetową www.morganricebooks.com i dołącz do listy mailingowej, a otrzymasz bezpłatną książkę, darmowe prezenty, darmową aplikację do pobrania i dostęp do najnowszych informacji. Dołącz do nas na Facebooku i Twitterze i pozostań z nami w kontakcie!

Wybrane recenzje Morgan Rice

"Dobra wiadomość dla wszystkich tych, którzy po przeczytaniu całej serii KREGU CZARNOKSIEŻNIKA wciąż pragną więcej. POWRÓT SMOKÓW Morgan Rice to zapowiedź kolejnej genialnej serii fantasy, która zabiera nas w podróż do świata trolli i smoków, męstwa, honoru, odwagi, magii i wiary w swoje przeznaczenie. Morgan po raz kolejny udało się stworzyć nietuzinkowych bohaterów, których dopingujemy na każdej stronie książki. ... Obowiązkowa pozycja w bibliotece każdego miłośnika gatunku fantasy."

—*Books and Movie Reviews*

Roberto Mattos

"Powrót Smoków to ogromny sukces – od samego początku Rewelacyjna powieść fantasy ... Zaczyna się tak,

jak powinna – od opisu zmagani jednej bohaterki, by potem, z każdą kolejną stroną, wprowadzać nas coraz głębiej w świat rycerzy, smoków, magii, potworów i przeznaczenia. ... W tej książce znajdziesz wszystko to, co potrzebne jest dobrej fantasy, od wojowników i bitew, po konfrontację z samym sobą... Szczególnie polecana dla czytelników, którzy lubią przygody młodych, zdeterminowanych i wiarygodnych bohaterów."

—*Midwest Book Review*

D. Donovan, eBook Reviewer

"Przepełniona akcją powieść z gatunku fantasy, która z pewnością zadowoli zarówno fanów dotychczasowej twórczości Morgan Rice, jak i entuzjastów powieści takich jak *The Inheritance Cycle* Christophera Paolini.... Najnowsza powieść Rice wciągnie bez reszty wszystkich miłośników literatury dla młodzieży."

—*The Wanderer, A Literary Journal* (dotyczy *Rise of the Dragons*)

"Porywająca powieść fantasy, w której fabułę wplecione są elementy tajemnicy i intrygi. *Wyprawa Bohaterów* opowiada o odwadze i życiowej misji, której realizacja prowadzi do rozwoju, dojrzałości i doskonałości... Dla tych, którzy szukają ekscytującej opowieści fantasy, pełnej wyrazistych bohaterów, środków przekazu i akcji. Książka w piękny sposób opisuje dorastanie Thora i jego przemianę z narwanego chłopca w

młodego mężczyznę, który musi stawić czoła niebezpiecznym wyzwaniom... To zaledwie początek czegoś, co zapowiada się na cykl epickiej serii dla młodzieży.”

--*Midwest Book Review* (D. Donovan, eBook Reviewer)

“KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA zawiera wszystkie elementy niezbędne do osiągnięcia natychmiastowego sukcesu: fabułę, zmywy i spiski, tajemnicę, dzielnych rycerzy, rozwijające się bujnie związki uczuciowe i złamane serca, podstęp i zdradę. Zapewni rozrywkę na wiele godzin i zadowoli czytelników w każdym wieku. Uważana za obowiązkową pozycję w biblioteczkę każdego czytelnika fantasy.”

--*Books and Movie Reviews*, Roberto Mattos

“Jest to pierwsza część sagi fantasy „Krał Czarnoksiężnika” (obecnie złożonej z czternastu części), w której Rice przedstawia czytelnikom losy 14-letniego Thorgrina "Thora" McLeoda, którego największym marzeniem jest dołączenie do Srebrnego Legionu, elitarnego oddziału królewskiej armii.... Pisarstwo Rice jest porządne, a przesłanie intrygujące.”

--*Publishers Weekly*

Książki Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (Część #1)

POWRÓT WALECZNYCH (Część #2)

POTEGA HONORU (Część #3)

KUŹNIA MĘSTWA (Część #4)

KRÓLESTWO CIENI (Część #5)

NOC ŚMAŁKÓW (Część #6)

KRAŁ CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZĘŚĆ 1)

MARSZ WŁADCÓW (CZĘŚĆ 2)

LOS SMOKÓW (CZĘŚĆ 3)

ZEW HONORU (CZĘŚĆ 4)

BLASK CHWAŁY (CZĘŚĆ 5)

SZARŻA WALECZNYCH (CZĘŚĆ 6)

RYTUAŁ MIECZY (CZĘŚĆ 7)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVERSUNNERS (CZEŚĆ #1)

ARENA TWO (CZEŚĆ #2)

WAMPIRZYCH DZIENNIKÓW

PRZEMIENIONA (CZEŚĆ 1)

KOCHANY (CZEŚĆ 2)

ZDRADZONA (CZEŚĆ 3)

PRZEZNACZONA (CZEŚĆ 4)

POŻĄDANA (CZEŚĆ 5)

ZARECZONA (CZEŚĆ 6)

ZAŚLUBIONA (CZEŚĆ 7)

KINGS AND SORCERERS



THE SORCERER'S RING

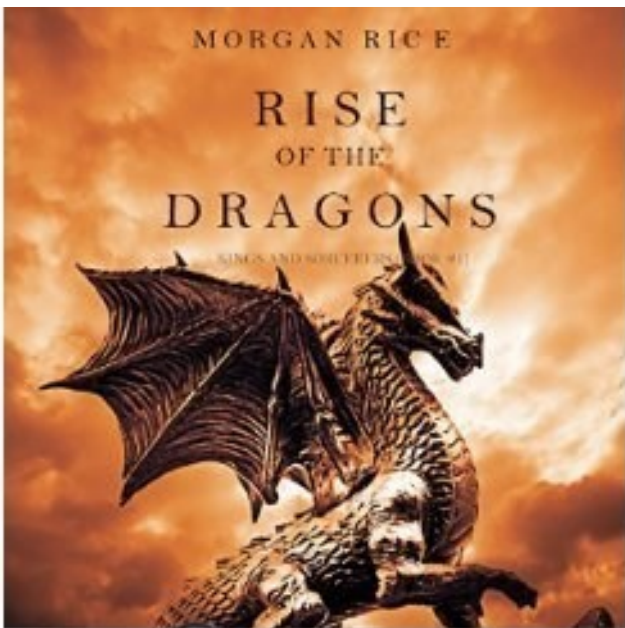


THE SURVIVAL TRILOGY

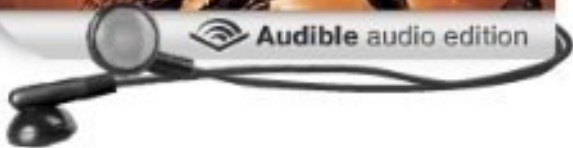


the vampire journals





Audible audio edition



**Słuchaj serii KRÓLOWIE I
CZARNOKSIĘŻNICY na audiobooku!**

Chcesz dostać książki za darmo?

**Dołącz do listy mailingowej Morgan Rice,
a otrzymasz za darmo 4 książki, 3 mapy, 1
aplikację, 1 grę, 1 powieść w formie komiksu
oraz ekskluzywne upominki. Zarejestruj
się na stronie: www.morganricebooks.com**

Copyright © 2015 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiejkolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejszy e-book przeznaczony jest wyłącznie do użytku osobistego. Niniejszy e-book nie może być odsprzedany lub odstąpiony innej osobie. Jeśli chcesz podzielić się tą książką z inną osobą, należy zakupić dodatkowy egzemplarz dla każdego odbiorcy. Jeśli czytasz tę książkę, choć jej nie zakupiłeś, lub nie została ona zakupiona dla ciebie, powinieneś ją zwrócić i

kupić własną kopię. Dziękujemy za poszanowanie ciężkiej pracy autora.

Niniejsza książka jest utworem literackim. Wszystkie nazwy, postacie, miejsca i zdarzenia są wytworem wyobraźni autorki i są fikcyjne. Wszelkie podobieństwo do imion czy cech prawdziwych osób jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Jacket image Copyright Algol © Shutterstock.com



*„To życie tylko cieniem jest przelotnym,
Nędznym aktorem, co przez swą godzinę
Na scenie świata pawi się i puszy,*

I milknie potem.”

-- William Shakespeare, *Makbet*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kapitan Gwardii Królewskiej stał na szczycie wieży obserwacyjnej i spoglądał w dół na setki strażników, tych wszystkich młodych żołnierzy, którzy patrolowali Płomienie pod jego czujnym spojrzeniem, po czym westchnął z rozczarowaniem. Był doświadczonym dowódcą, więc to że został przydzielony do służby tutaj, w najdalszym zakątku Escalonu, dzień w dzień odczuwał jako obelgę. Jego zadaniem było pilnować tej niezdyscyplinowanej hołoty, którą nazywano żołnierzami. To jednak nie byli żołnierze – tylko niewolnicy, przestępcy, chłopcy i starcy; wyrzutki społeczne wcielone do armii tylko po to, by pilnować ściany płomieni, która trwała niezmiennie od tysięcy lat. To wszystko wokół było niczym więcej jak więzieniem, on zaś zasługiwał na więcej. Powinien być przydzielony w inne miejsce, na przykład do straży przy królewskich bramach Andros.

Bez zainteresowania spojrział w dół, na kolejną bójkę, która właśnie wybuchła. To już trzecia dzisiejszego dnia. W tej wydawało się uczestniczyć dwóch wyrostków, którzy walczyli o skrawek mięsa. Para szybko została otoczona przez tłum rozkrzyczanych młodziaków, którzy zagrzewali ich do walki. Tu nigdy nic ciekawego się nie działo. Wszyscy byli zbyt znudzeni stanem w jednym miejscu i obserwowaniem Płomieni dzień po dniu, mimo że chcieli walczyć – niechże więc powalczą. A

jeśli pozabijają się nawzajem, to nawet lepiej – będzie musiał pilnować dwóch chłopaków mniej.

Wreszcie wykrzyknięto na wiwat, gdy jeden z chłopców pokonał drugiego, wbijając mu sztylet prosto w serce. Zwycięzony padł bez życia, jego śmierć została przyjęta radosnym okrzykiem, po czym gapie rzucili się do ciała, by ograbić je ze wszystkiego. Przynajmniej zginął szybko, litościwą śmiercią, o wiele lepszą, niż tysiące sposobów powolnego umierania, które czyhały tu na każdego. Zwycięzca postąpił do przodu, odepchnął resztę chłopców na bok i sięgnął do kieszeni zabitego po ułomek chleba, który jeszcze mu został.

Dzień jak każdy inny tu, przy Płomieniach. Kapitan aż płonął, nigdy w życiu nie czuł się tak poniżony. Nie zasługiwał na taki los. Przecież popełnił tylko jeden błąd, tylko raz nie posłuchał rozkazu, został wysłany tutaj w ramach kary. To niesprawiedliwe. Oddałby wszystko by móc cofnąć czas i zmienić tą jedną chwilę w przeszłości. Życie, pomyślał, potrafiło być mściwe, bezwzględne i okrutne.

Zrezygnowany odwrócił się i wpatrzył w Płomienie. W ciągłym trzasku ich ognia było coś przyciągającego, hipnotycznego, nawet po tylu latach. To było trochę tak, jakby patrzeć prosto w twarz Boga. Po chwili zagubił się całkowicie w blasku, jego myśli zwróciły się w stronę sensu życia. Wszystko wydawało się tak bezcelowe. Czuł, że jest tutaj zupełnie niepotrzebny – tak samo jak ci chłopcy. Płomienie stały niewzruszenie od tysięcy lat, nie zgasną po koniec czasu, a ich

żar sprawiał, że naród trolli nigdy nie przedrze się na drugą stronę. Marda równie dobrze mogła znajdować się daleko za morzem. Jeśli on miałby podejmować takie decyzje, po prostu wybrałby najlepszych spośród tych chłopaków i wysłał ich na inne posterunki, przy wybrzeżach, tam gdzie naprawdę byli potrzebni, a przestępców ukarałby śmiercią.

Kapitan stracił poczucie czasu, jak często zdarzało się, gdy zapatrzył się w Płomienie. Było już dużo później, gdy nagle zmrużył powieki zaniepokojony. Zobaczył coś, coś co nie do końca do niego docierało, przetań więc oczy, przekonany, że ma przywidzenia. Patrzył jednak dalej, powoli przekonując się, że to dzieje się naprawdę. Świat zmieniał się przed jego oczyma.

Wszechobecny trzask ognia, który towarzyszył mu w każdej chwili, którą tutaj spędził, powoli zamierał. Żar, który lał się z Płomieni, zniknął znikąd, pozostawiając po sobie prawdziwy chłód, którego nie czuł od chwili przybycia w te okolice. Przed jego oczyma ściana upleciona z jasnoczerwonych i pomarańczowych płomieni, która oślepiła go tak w dzień jak i w nocy – po raz pierwszy zagaśła.

Po prostu zniknęła.

Kapitan znów przetań oczy w zadziwieniu. Czy to mu się śniło? Patrzył zdumiony jak Płomienie palą się coraz niżej, aż w końcu znikają przy ziemi, niczym opadająca kurtyna. Po chwili nie było już po nich śladu.

Zgasły.

Oddech uwiązł mu w piersiach, panika i niedowierzanie

narastały w nim powoli. Po raz pierwszy spoglądał na to, co czaiło się po drugiej stronie: na Mardę. Nic nie zasłaniało mu już widoku. Dzika kraina pełna była czerni – czarnych nagich gór, czarnych potrzaskanych skał, czarnej ziemi, czarnych suchych drzew. Nie był to widok przeznaczony dla ludzkich oczu. Żaden z Escalończyków nie powinien był nigdy jej zobaczyć.

Wokół zapadła ogłuszająca cisza, gdy chłopcy poniżej po raz pierwszy przestali się ze sobą kłócić. Wszyscy zmrożeni byli szokiem, zwrócili się w tamtą stronę i wytrzeszczyli oczy. Ściana ognia zniknęła, zaś po drugiej stronie czekała już na nich armia trolli, łypiąc na nich spode łba. Wypełniała ziemię aż po horyzont.

Cały naród.

Serce kapitana przestało na chwilę bić. Ledwie kilka kroków od nich falowało morze najbardziej obrzydliwych bestii, jakie kiedykolwiek widział, przerośniętych, groteskowych i zniekształconych. W łapach dzierżyli ogromne halabardy, czekając cierpliwie, aż wybije ich godzina. Miał przed sobą miliony oczu, z których wszystkie zdawały się równie zaskoczone, gdy dochodziło do nich powoli, że nic już nie odgradza ich od Escalonu.

Dwa wrogie narody stały naprzeciwko siebie, trolle rozjarzone zwycięstwem, ludzie wstrząśnięci paniką. Mimo wszystko było ich tu ledwie kilkuset, przeciwko milionom trolli.

W końcu ciszę strzaskał ogłuszający ryk. Przemożny okrzyk zwycięstwa dobiegł od strony potworów, by zaraz ustąpić

miejsca dudniącym grzmotom, gdy bestie rzuciły się do szarży. Galopowały niczym stado bizonów, wznosząc swe halabardy by odrąbywać głowy sparaliżowanych strachem chłopców, którym nie starczało odwagi nawet na to, by uciekać. Sunęli naprzód niczym fala śmierci, fala zniszczenia.

Kapitan również zamarł na swej wieży, zbyt przerażony by zrobić jakikolwiek ruch. Nawet nie wyciągnął miecza, widząc biegnące w jego stronę trolle. Chwilę później poczuł, że spada, gdy wściekła hałastrą przewróciła wieżę. Wylądował w ramionach potworów i ostatnim tchem zawył straszliwie, gdy poczuł jak ich szpony rozdzierają go na strzępy.

I w chwilę przed tym, jak wyzionąć miał ducha, przez jego głowę przebiegła ostatnia myśl: ten chłopiec, którego dźgnięto tu dzisiaj nożem, ten który umarł za kromkę chleba – on miał z nich wszystkich najwięcej szczęścia.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dierdre czuła jak ciśnienie zgniata jej płuca, gdy wir wciągał ją głęboko pod wodę. Bez skutku próbowała zorientować się, gdzie jest powierzchnia, nurt szarpał ją bezlitośnie i obracał to w górę, to w dół. Tak bardzo pragnęła wziąć głęboki oddech, całe jej ciało wyło z braku tlenu, jednak wiedziała, że to oznaczałoby śmierć.

Zamknęła oczy i zaszlochała. Jej łzy połączyły się z wodą, a przez głowę przebiegła myśl: czy to piekło kiedykolwiek się skończy? Jej jedynym pocieszeniem była myśl o Marco. Miała wrażenie, że wciąż przy niej jest, rozejrzała się więc wokół w poszukiwaniu. W ciemnościach nie mogła jednak niczego dojrzeć, nic tylko czerń i spienione fale, nieskończona ilość wody ciągnąca ją w dół. Marco pewnie już dawno nie żył.

Zbierało jej się na płacz, jednak ból wybił jej z głowy uzalenie się nad sobą, sprawił, że myślała jedynie o przetrwaniu. I gdy już sądziła, że fale nie mogą być silniejsze, nagły nurt uderzył nią o dno, i jeszcze raz, i jeszcze, przypierając do ziemi z taką mocą, jakby cały świat zwałił się właśnie jej na głowę. Wiedziała, że nie ma żadnych szans.

Cóż za ironia, pomyślała, umrze tutaj, w swoim mieście, zgnieciona pod falami wzbudzonymi przez ostrzał pandezyjskich dział. Każda inna śmierć byłaby o niebo lepsza od utonięcia w odmetach wody. Nie była w stanie wytrzymać tego straszliwego

bólu, tego szarpania, tego, że nie mogła otworzyć ust i choć raz jeszcze odetchnąć powietrzem, o co prosiło całe jej ciało.

Czuła, że jest coraz słabsza, że poddaje się cierpieniu – jednak chwilę przed tym, jak jej oczy miały zamknąć się na zawsze, poczuła nagle falę, która porwała ją w górę z siłą równie wielką jak ta, która przed chwilą przyparła ją do dna. Unosiła się ku powierzchni z taką prędkością, że ciśnienie prawie rozerwało jej bębunki w uszach.

Chwilę później, ku swemu zaskoczeniu, przebiła tafłę wody. Złapała kilka głębokich oddechów; jeszcze nigdy w życiu nie była za nic aż tak wdzięczna. Kolejny oddech okazał się jednak ostatnim, gdy w następnej sekundzie prąd znów wciągnął ją pod fale. Tym razem jednak udało jej się złapać wystarczająco dużo tlenu, by zachować siły na dłużej, wir zaś nie wciągnął jej równie głęboko.

Wkrótce znów wynurzyła się z wody, by wziąć kolejny łapczywy oddech, jednak po raz kolejny nie udało jej się utrzymać na powierzchni. Za każdym razem było coraz lepiej, czuła jak fale słabną, gdy docierały do krańców miasta i rozlewały się szeroko.

Niedługo później zorientowała się, że wypłynęła już poza granice miejskie, z dala od potężnych budynków skrytych teraz pod wodą. Znów wciągnęło ją głębiej w toń, tym razem jednak na tyle wolno, że wreszcie była w stanie otworzyć oczy, by po raz ostatni spojrzeć na zatopione budowle, którymi niegdyś pysnił się jej kraj. Dojrzała dziesiątki trupów przepływających

obok niej niczym upiorne ryby, ciała, których wykrzywione przedśmiertnie twarze starała się wyprzeć ze swej pamięci.

Wreszcie udało jej się wynurzyć, tym razem na dobre. Była wystarczająco silna, by oprzeć się ostatniej, słabej fali, która znów próbowała wessać ją pod powierzchnię, wystarczyło jedno kopnięcie, by utrzymać się na górze. Wody portowe wypłynęły zbyt daleko w łódź, nie miały już tej mocy. Wkrótce zorientowała się, że wyrzucają ją na trawiaste pole, by po chwili cofnąć się z powrotem ku morzu i zostawić ją za sobą.

Przez chwilę leżała na brzuchu, z twarzą wbłą w mokre żdźbła, nie mogąc zrobić nic więcej, jak tylko pojękiwać z bólu. Wciąż dyszała ciężko i choć płuca ją paliły, smakowała z radością każdy oddech. Gdy udało jej się ostatkiem sił obrócić głowę i spojrzeć przez ramię, z przerażeniem stwierdziła, że w miejscu jej wspaniałego miasta nie było nic prócz morza. Dostrzegła jedynie najwyższą kondygnację dzwonnicy, która ledwie wystawała nad fale. Ledwie mogła uwierzyć, że jeszcze niedawno sięgała jakieś sto metrów w niebo.

Była skrajnie wyczerpana, na szczęście wreszcie mogła chwilę odpocząć. Znów opadła twarzą na ziemię, pozwalając dogonić się myślom o tragedii, która właśnie się tu rozegrała. Chwilę później zapadła w głęboki sen, leżąc ledwie żywa na tej dzikiej łące, gdzieś na kompletnym pustkowiu.



– Dierdre – usłyszała głos i poczuła delikatne szturchnięcie.

Otworzyła więc oczy, z zaskoczeniem stwierdzając, że słońce chyli się już ku zachodowi. Była zupełnie przemarznięta, jej ubranie wciąż było mokre, nie była pewna, gdzie się znajduje ani jak długo spała, nie wspominając o tym, że nie była pewna czy naprawdę żyje. Znów jednak poczuła dotknięcie dłoni, lekkie szarpnięcie za ramię.

Spojrzała więc w górę i ku niewyobrażalnej uldze zobaczyła Marco. On także żył, stwierdziła z olbrzymią radością. Wyglądał na poobijanego i poszarpanego, był strasznie blady i wydawał się starszy o sto lat. Ale jednak był żywy. Jakimś sposobem udało mu się przetrwać.

Ukląkł zaraz przy niej, uśmiechał się, jednak w jego oczach czaił się smutek, nie lśniły już pełnią życia jak wcześniej.

– Marco – odpowiedziała słabym głosem, zaskoczona tym jak był ochrypły.

Zauważyła rozcięcie przy jego policzku, sięgnęła ku niemu zaniepokojona.

– Wyglądasz prawie tak źle, jak ja się czuję – powiedziała.

Pomógł jej stanąć na nogi, udało się mimo tego, że całe jej ciało krzyczało z bólu od wszystkich sińców, zadrapań i rozcięć. Gdy jednak poruszała rękoma i nogami, stwierdziła, że nic nie jest złamane.

Wzięła więc głęboki oddech, spięła się i odwróciła, by spojrzeć za siebie. Widok był koszmarny, tak jak sądziła: jej ukochane miasto zniknęło, teraz nie było tam nic oprócz morza, jedynie niewielki fragment dzwonnicy wystawał z wody. Dalej na horyzoncie zobaczyła flotę czarnych statków Pandezjan, które powoli wpływały coraz głębiej w stronę lądu.

– Nie możemy tu zostać – ponaglił Marco – Już się zbliżają.

– Gdzie mamy uciekać? – spytała bezsilnie.

Marco odpowiedział jej pustym spojrzeniem, widać było, że on także nie ma pomysłu.

Dierdre spojrzała w stronę zachodzącego słońca, starając się ruszyć głową. Czuła jedynie krew pulsującą w uszach. Wszyscy, których знаła i kochała zginęli. Czuła, że nie ma już po co żyć, nie ma gdzie się schronić. Gdzie miałyby się podziać po tym, jak jej miasto zostało zniszczone? Gdy cały ciężar świata zdawał się spadać na jej barki?

Zamknęła oczy i potrząsnęła głową w żalu, tak bardzo chciała, by to wszystko okazało się złym snem. Wiedziała jednak, że jej ojciec został tam, martwy. Tak jak i wszyscy jego żołnierze. Ludzie, których znała i kochała, wszyscy ponieśli śmierć z rąk Pandezyjskich potworów. I już nie pozostał nikt, kto mógłby ich powstrzymać. Po co miałyby teraz żyć?

Wszystkie te myśli sprawiły, że załkała żałośnie, choć tak bardzo starała się być silna. Myśli o ojcu sprawiły, że padła na kolana kompletnie zdruzgotana. Łkała i łkała, życząc samej sobie śmierci, żałując, że i ona nie umarła, przeklinając niebiosa za to,

że pozwoliły jej żyć. Dlaczego nie mogła po prostu utonąć pod zalewem fal? Dlaczego nie dane jej było umrzeć wraz z innymi? Dlaczego została przeklęta ciężarem życia?

Nagle jednak poczuła na swym ramieniu kojącą dłoń.

– Już dobrze, Dierdre – Marco odezwał się cichutko.

Dierdre drgnęła zawstydzona.

– Przepraszam – powiedziała wreszcie przez łzy – Po prostu... mój ojciec... już nic mi nie zostało.

– Straciłaś wszystko – powiedział Marco równie ciężkim głosem – Tak jak ja. Ja także nie widzę przed sobą przyszłości. Jednak *musimy* żyć dalej. Nie możemy tak po prostu położyć się tu i umrzeć. Tym sposobem przekreślilibyśmy pamięć o naszych bliskich. To brak szacunku dla wszystkiego, za co żyli i walczyli.

Zapadła długa cisza, w czasie której Dierdre wolno podniosła się z kolan, dochodząc do wniosku, że chłopak ma rację. Poza tym, w chwili gdy spojrzała w jego brązowe oczy, które jaśniały współczuciem, dostrzegła, że tak naprawdę pozostał jej ktoś bliski. Miała przy sobie Marco. Miała także duszę swego ojca, która spoglądała na nią niczym anioł stróż, która pragnęła, by była silna.

Zmusiła się więc, by się otrząsnąć. Musiała być silna. Jej ojciec na pewno życzyłby sobie tego. Użalanie się nad sobą, stwierdziła, nikomu nie pomoże. Tak jak jej śmierć.

Spojrzała w odpowiedzi na Marco i w jego oczach zobaczyła coś więcej jak współczucie – była tam także miłość.

Nawet nie zdając sobie sprawy z tego co robi, z sercem

szalejącym w piersi, pochyliła się i złączyła usta z jego ustami w nieoczekiwanym pocałunku. Przez chwilę miała wrażenie, że przenosi się do innego świata, czuła jak wszystkie jej troski znikają.

Powoli oderwała się od niego i wbiła w niego zaskoczony wzrok. Marco wydawał się równie zbity z tropu. Jednak wziął ją za rękę.

Gdy tylko napotkała jego dłoń, napełniła ją nadzieja i znów była w stanie myśleć jasno – więc natychmiast wpadła na pomysł. Został jeszcze ktoś, mieli gdzie iść, mieli kogo poprosić o pomoc.

Kyrę.

Zalała ją gwałtowna fala nadziei.

– Wiem gdzie musimy się udać – powiedziała szybko, w podnieceniu.

Marco spojrzał na nią ciekawie.

– Kyra – powiedziała – Możemy ją odnaleźć. Ona będzie wiedziała jak pomóc. Gdziekolwiek jest, na pewno wciąż walczy. Możemy do niej dołączyć.

– Skąd masz pewność, że wciąż żyje? – spytał.

Dierdre potrząsnęła głową.

– Nie mam – odpowiedziała – ale Kyra zawsze znajdzie sposób, by przetrwać. Jest najsilniejszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam.

– A gdzie ją znajdziemy? – spytał.

Dierdre zamyśliła się, przypomniała sobie ostatnią chwilę,

w której widziała się z Kyrą. Jej przyjaciółka kierowała się na północ, w stronę Wieży.

– W Wieży Ur – powiedziała.

Marco odpowiedział zaskoczonym spojrzeniem, w którym jednak błysnęła iskra optymizmu.

– Znajdziemy tam Obserwatorów – powiedział – i pewno innych wojowników. Ludzi, którzy mogą przyłączyć się do walki – kiwnął głową podekscytowany – To dobry wybór – dodał – W Wieży będziemy bezpieczni. A jeśli znajdziemy tam twoją przyjaciółkę, tym lepiej. Jest nie dalej jak dzień pieszej drogi stąd. Chodźmy już. Musimy się spieszyć.

Wziął ją za rękę, nie trzeba było im ani słowa więcej, ruszyli w stronę lasu zalani świeżą falą optymizmu, kierując się ku Wieży Ur.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kyra wzięła głęboki oddech i z odważnie ruszyła przez pole ognia. Płomienie nagle buchnęły w niebo a potem obniżyły się i mieniać się tysiącami kolorów, pieściły jej wyciągnięte dłonie, gdy szła pomiędzy nimi, czując na swym ciele ich żar. Wiedziała, że kroczy prosto w objęcia śmierci, jednak innej drogi dla niej nie było.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że wcale nie czuła bólu. Wprost przeciwnie, przepełniał ją spokój. Miała poczucie, jakby jej życie dobiegało końca.

Spojrzała przed siebie, by pośród płomieni dostrzec swą matkę, która czekała na nią po drugiej stronie. Ogarnął ją spokój, wiedziała, że już za chwilę znajdzie się w jej objęciach.

Tu jestem, Kyro, wybrzmiał jej głos. Chodź do mnie.

Kyra spojrzała w ogień. Widziała półprzezroczystą twarz swej matki, teraz ledwo dostrzegalną wśród płomieni, które znowu wystrzeliły w niebo. Wchodziła coraz dalej, aż otoczyły ją ze wszystkich stron.

Nagle powietrze przeciął straszliwy ryk i gdy podniosła wzrok, na niebie ujrzała setki krążących nad jej głową smoków. Patrzyła, jak jeden z nich oddziela się od reszty i nurkuje prosto na nią z wyciągniętymi szponami.

Wyczuła, że jej czas się zbliża.

Gdy smok był już blisko, ziemia pod jej stopami nagle

rozstąpiła się i Kyra zaczęła spadać w ognistą otchłań, z której nie było już powrotu.

Wtedy właśnie otworzyła oczy i rozejrzała się wokół, dysząc ciężko, nie mając pojęcia gdzie jest, ani co się z nią dzieje. Czuła ból w każdej części swojego ciała. Twarz miała opuchniętą, całą umazaną w błocie. Z trudem mogła złapać oddech. Podniosła lekko głowę i delikatnie otarła z siebie lepką maź. Nie potrafiła przypomnieć sobie, co tu robi.

Wtem usłyszała mrozący krew w żyłach jazgot i gdy spojrzała w górę, z przerażeniem dostrzegła krążące nad nią chmary smoków wszystkich kształtów, rozmiarów i kolorów, zionące ogniem w furii. Patrzyła, jak jeden z nich nurkuje i wypuszcza w jej stronę strumień ognia.

Kyra rozejrzała się znowu, rozpaczliwie próbując przypomnieć sobie, gdzie jest. Jej serce zabiło mocniej, gdy wreszcie uświadomiła sobie: Andros.

Wtedy zaczęły zalewać ją wspomnienia. Leciała na grzbiecie Theona z powrotem do Andros, by wyrwać swego ojca z rąk oprawców, gdy nagle zaatakowało ich stado smoków. Pojawiły się znikąd na niebie, pokąsały Theona i zrzuciły na ziemię. To wtedy musiała stracić przytomność.

Teraz obudziła ją fala gorąca i dochodzący zewsząd straszliwy wrzask. Obejrzała się za siebie, by za plecami ujrzeć pogrążoną w ogniu stolicę, z której ludzie uciekali w panice, krzycząc wniebogłosy. Wyglądało to tak, jakby wreszcie nastąpił koniec świata.

Kyra usłyszała ciężki oddech i jej serce zamarło, gdy dostrzegła leżącego nieopodal Theona, któremu z pyska lała się struga krwi. Miał zamknięte powieki, jęzor wisiał mu bezwładnie z paszczy, wyglądał tak, jakby był na skraju śmierci. Żył nadal wyłącznie dzięki temu, że zarówno jej jak i jego ciało przykryte było warstwą gruzu. Musieli spaść na budynek, którego ruiny stanowiły teraz dla nich osłonę przez wzrokiem smoków.

Kyra wiedziała, że musi natychmiast wydostać stamtąd siebie i Theona, zanim smoki ich zauważą.

– Theon! – krzyknęła do niego.

Przez dłuższą chwilę bezskutecznie próbowała podnieść się z ziemi, aż wreszcie nadludzkim wysiłkiem udało jej się uwolnić spod gruzu. Natychmiast ruszyła w stronę Theona, by spróbować go odkopać. Udało jej się zrzucić z niego większość skał, jednak wciąż pozostało kilka, których nawet ona nie mogła ruszyć. Ze wszystkich sił próbowała zsunąć je z ciała przyjaciela, jednak ani drgnęły.

Kyra podbiegła i chwyciła pysk Theona w obie ręce, usiłując go ocucić. Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła jak powieki powoli rozchylają mu się, gdy głaskała jego łuski. Po chwili jednak znowu się zamknęły.

– Obudź się! – zażądała, szturchając go lekko – Potrzebuję cię!

Wtedy Theon ponownie otworzył oczy, po czym odwrócił się i spojrzał na nią. Ból i wściekłość w jego oczach złagodniały, gdy

ją rozpoznał. Starał się poruszyć, wstać, ale wyraźnie był zbyt słaby; głązy wciąż przypierały go do ziemi.

Kyra pchnęła jeden z kamieni z furją, lecz po chwili wybuchła płaczem uświadomiwszy sobie, że nie było takiej siły, która mogłaby go ruszyć. Theon był w potrzasku. Czekala go tu śmierć. Tak jak i ją.

Usłyszawszy ryk, spojrzała w górę, by zobaczyć tam ogromnego smoka o zielonych łuskach, który bez wątpienia zdołał wypatrzyć ich w rumowisku. Bestia wydała z siebie wściekły ryk, by po chwili zanurkować prosto na nich.

Zostaw mnie.

W głowie Kyry rozbrzmiał nagle głęboki głos. Głos Theona.

Ukryj się gdzieś daleko stąd. Póki jest jeszcze czas.

– Nigdy! – odmówiła stanowczo.

Idź, namawiał ją. Albo zginiemy tutaj oboje.

– W takim razie umrzemy razem – krzyknęła, zdecydowana pozostać u boku przyjaciela. Za nic w świecie nie opuściłaby go teraz.

Wtedy niebo pociemniało i gdy Kyra spojrzała w górę, zobaczyła ogromnego stwora zbliżającego się do nich z wystawionymi szponami. W jego otwartym pysku jeżyły się rzędy ostrych kłów. Wiedziała, że nie mają szans na przeżycie, ale nie dbała o to. Nie chciała porzucić Theona. Śmierć mogła ją pokonać, ale nie tchórzostwo. To nie śmierci bowiem bała się najbardziej, tylko życia bez honoru.

CHAPTER CZWARTY

Duncan biegł wraz z innymi przez ulice Andros i choć kulał, starał się dotrzymać kroku Aidanowi, Papugowi, ich młodej towarzyszcze, Cassandrze oraz psu swego syna, Białemu, który pospieszał go drepcząc mu po piętach. Pod ramiona podpierał go jego długoletni, zaufany oficer, Anvin, wraz ze swoim nowym giermkim, Septinem. Duncan doskonale wiedział, że jego przyjaciel jest w niewiele lepszym od niego stanie, widział jego rany, tym bardziej wzruszało go, że przebył tak daleką drogę by go ratować.

Ich osobliwa grupa gnała przez wstrząsane bitwą ulice Andros, a wokół szalał całkowity chaos. Wydawało się, że nie mają szans przetrwać. Z jednej strony Duncan czuł bezbrzeżną ulgę, był wreszcie wolny, i bardzo cieszył się, że może znów oglądać swego syna. Był wdzięczny mogąc przebywać z nimi wszystkimi. Wciąż jednak patrzył w górę, przeczuwał, że wyrwał się ze swej celi tylko po to, by zaraz wpaść w objęcia śmierci. Niebo wypełnione było kołującymi się nisko nad ziemią smokami, które opadały na miasto w ataku, rozwalając budynki i płomieniami niszcząc wszystko wokół. Ulice pełne były ognia, który raz po raz blokował im drogę. Gdy jedna ścieżka po drugiej stawiała w płomieniach, ich ucieczka ze stolicy zdawała się coraz mniej prawdopodobna.

Papug zdawał się doskonale znać te boczne uliczki, prowadził

ich sprawnie, skręcając bez wahania w odpowiednią stronę, wszędzie znajdując skróty, tak że byli w stanie omijać panoszące się wokół grupki pandezyjskich żołnierzy, którzy byli dla nich kolejnym ogromnym zagrożeniem. Jednak mimo całego swego sprytu, komediant nie był w stanie omijać smoków, więc gdy skręcił w kolejną uliczkę, ta nagle stanęła w ogniu. Wszyscy zatrzymali się gwałtownie, osłaniając rękoma twarze sparzone ogniem, po czym wycofali się z powrotem.

Duncan od gorąca przesiąkł potem, znów spojrzał na Papuga, jednak tym razem nie dodało mu to otuchy, mężczyzna zerkał na wszystkie strony z paniką wypisaną na twarzy.

– Tędy! – powiedział wreszcie.

Odwrócił się i poprowadził ich kolejną drogą, skryli się pod kamiennym łukiem chwilę przed tym, jak miejsce, w którym stali zalała świeża fala płomieni.

Gdy biegli dalej, Duncan nie mógł powstrzymać w sobie smutku, widząc to wspaniałe miasto rozdzierane na strzępy. Przecież kochał to miejsce i bronił go zaciekle swego czasu. Nie mógł powstrzymać się od myśli, że Escalon nigdy nie podniesie się z tych ruin. Że jego ojczyzna została zniszczona już na zawsze.

Dobiegł ich krzyk, zerknął więc przez ramię, by dostrzec dziesiątki pandezyjskich żołnierzy, którzy właśnie ich zobaczyli. Puścili się za nimi w pogoń i szybko skracali dystans, było jasne, że nie mają szans ich przegonić – jednak jeszcze mniejsze szanse mieli w walce. Granice miasta nadal były daleko, a ich czas

właśnie się skończył.

Nagle usłyszeli głośny huk – Duncan spojrzał w górę, by zobaczyć smoka, który właśnie stracił dzwonnice z zamkowej wieży machnięciem potężnych pazurów.

– Uwaga! – wykrzyknął.

Po czym skoczył naprzód i wypchnął Aidana i resztę spoza zasięgu spadających odłamków, które wyrznęły w bruk zaraz obok. Wielki kawał kamiennego muru spadł zaraz za nim z ogłuszającym trzaskiem, podnosząc w powietrze chmurę pyłu.

Aidan spojrzał na swego ojca z zaskoczeniem i wdzięcznością w oczach, sprawiając Duncanowi ogromną przyjemność – nie był aż tak słaby, by nie przydać się na nic, uratował życie swemu synowi.

Usłyszał stłumione krzyki, odwrócił się i stwierdził z ulgą, że gruz przynajmniej zagroził drogę goniącym ich żołnierzom.

Ruszyli dalej, jednak on ledwo nadązał, wycieńczenie i rany, których doznał w celi odbierały mu siły. Był niedożywiony, posiniaczony i poobijany, każdy krok był dla niego bolesnym wysiłkiem. Mimo to parł na przód, choćby po to, by upewnić się, że jego syn i jego przyjaciele przeżyją. Nie mógł ich teraz zawieść.

Znów skreśliли za róg i dotarli do rozwidlenia. Zatrzymali się i spojrzeli na Papuga.

– Musimy wydostać się z tego przekłętego miasta! – krzyknęła na niego Cassandra w bezsilnej złości – A ty nawet nie masz pojęcia, w którą stronę iść!

Mężczyzna popatrywał zdeorientowany to w lewo, to w prawo.

– Na tej ulicy był kiedyś zamtuz – powiedział patrząc w prawo
– Dalej jest wyjście z miasta.

– Zamtuz? – odparowała Cassandra – Obracasz się we wspaniałym towarzystwie.

– Nic nie obchodzi mnie twoje towarzystwo – stwierdził Anvin – jeśli tylko wydostaniesz nas stąd.

– Miejmy tylko nadzieję, że da się tędy przejść – dodał Aidan.

– Ruszajmy! – wykrzyknął Duncan.

Papug pobiegł dalej skręcając w prawo, chociaż kondycję miał na tyle kiepską, że ledwo dyszał ze zmęczenia.

Reszta podążyła za nim, decydując się zaufać jego zdolnościom, znów gnali przez wąskie uliczki stolicy.

Skręcali raz za razem, aż wreszcie dotarli do nisko sklepionego łuku. Musieli pochylić głowy, by przejść pod nim, gdy zaś wyszli na drugą stronę Duncan z ulgą stwierdził, że nic nie blokuje im dalszej drogi. Z radością przywitał widok tylnej bramy Andros widocznej w oddali, za którą rozciągały się szerokie pola. Zaraz za bramą widać było kilkanaście pandezyjskich koni, które stały spętane, widać ich właścicieli byli już martwi.

Papug uśmiechnął się szeroko.

– A nie mówiłem? – stwierdził.

Duncan dotrzymywał reszcie kroku, mimo że pędzili coraz szybciej. Zdawał się dochodzić do siebie, czując świeżą falę

nadziei – wtem jednak usłyszał krzyk, który zakłął go niczym cieni wbity w serce.

Zatrzymał się, by posłuchać.

– Czekaście! – krzyknął do reszty.

Wszyscy zatrzymali się i spojrzeli na niego jak na szaleńca.

On zaś stanął bez ruchu i czekał. Czy to możliwe? Mógłby przysiąc, że głos, który słyszał należał do jego córki. Kyry. A może tylko mu się zdawało?

To na pewno tylko jego wyobraźnia. Jakim sposobem miałyby znaleźć się tu, w Andros? Była przecież daleko stąd, na drugim krańcu Escalonu, w Wieży Ur, zupełnie bezpieczna.

Jednak nie był w stanie się ruszyć po tym, co usłyszał.

Stał w miejscu zupełnie nieruchomo, czekał – aż w końcu usłyszał go znowu. Wszystkie włosy na głowie stanęły mu dęba. Tym razem był pewny. To jego córka.

– Kyra! – powiedział na głos z oczyma wielkimi jak spodki.

Bez namysłu odwrócił się plecami do reszty, do wyjścia z miasta i ruszył z powrotem między płonące budynki.

– Co ty wyprawiasz?! – krzyknął za nim Papug.

– Kyra jest gdzieś blisko! – odkrzyknął, wciąż biegnąc – I jest w tarapatach!

– Czyś ty oszalał? – spytał go komediant, podbiegając do niego i łapiąc go za ramię – Idziesz na pewną śmierć!

Jednak Duncan był zdecydowany, strząsnął dłoń Papuga i biegł dalej.

– Pewna śmierć – odpowiedział – to porzucić córkę, którą

kocham nad życie.

Nie zatrzymał się ani na chwilę, gdy samotnie skręcił w uliczkę, biegnąc ku pewnej zgubie, prosto w płonące miasto. Wiedział, że nie przeżyje tego. Jednak nic go to nie obchodziło. Jedyne, czego chciał, to choć raz jeszcze zobaczyć swoje dziecko.

Kyro, pomyślał, Zaczekaj na mnie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jego Wspaniałość, Najświętszy Ra, siedział na swym złotym tronie w stolicy, samym sercu Andros, patrząc z góry na komnatę wypełnioną przez generałów, niewolników i petentów. Z niezadowolenia aż tarł dłońmi o oparcia. Wiedział doskonale, że powinien smakować zwycięstwo, powinien być nasycony tym wszystkim, co osiągnął. W końcu Escalon był ostatnim bastionem wolności na tym świecie, ostatnim miejscem, którego imperium nie było w stanie podporządkować sobie w całości. A przecież w ciągu kilku ostatnich dni udało mu się poprowadzić swe wojska do jednego z największych zwycięstw wszechczasów. Zamknął oczy i uśmiechnął się, by jeszcze raz przypomnieć sobie zdobywanie niebronionej Bramy Południowej, palenia miast południowego Escalonu i przecinania drogi na północ, aż po samą stolicę. Uśmiechnął się na samą myśl o tym, że ta kraina, nigdyś tak wspaniała, jest teraz jednym wielkim grobem.

Wiedział też, że północ Escalonu nie radziła sobie wiele lepiej. Jego flocie udało się zatopić wielkie miasto Ur, które obecnie było tylko wspomnieniem. Na wschodnim wybrzeżu jego statki zdobyły Morze Łez i zniszczyły wszystkie tamtejsze porty, poczynając od Esephus. Nie pozostało wiele więcej jak kilka skrawków Escalonu, których nie miał w garści.

I co najważniejsze, najbardziej krnąbrny dowódca tego kraju, wichrzyciel, który zaczął całą tę kabałę – Duncan –

siedział uwięziony w lochu. Gdy tylko wyglądał przez okno na wschodzące słońce, cały trząsł się z podniecenia na myśl o tym, że osobiście poprowadzi go na szubienicę. Osobiście założy mu pętlę na szyję i wreszcie zobaczy jak umiera. Uśmiechnął się na samą myśl o tym. Dzisiejszy dzień będzie wspaniały.

Jego zwycięstwo było całkowite, na wszystkich frontach – jednak mimo to nie czuł się zaspokojony. Siedział bez ruchu i próbował wejrzeć głęboko w swą duszę, zrozumieć powód tego niezadowolenia. Miał wszystko, czego chciał. Co więc mogło go gryźć?

Tak naprawdę nigdy jeszcze nie był w pełni usatysfakcjonowany, w żadnym ze swych podbojów, jeszcze nigdy w życiu. Zawsze palił go niedosyt, potrzeba by mieć coraz więcej i więcej. Nawet teraz był w stanie ją wyczuć. Zastanawiał się, co jeszcze mógł zrobić, by nasycić swe żądze. By sprawić, że jego zwycięstwo wyda się pełniejsze.

W jego umyśle powoli rodził się plan. Mógł zamordować każdego mężczyznę, kobietę i dziecko pozostałe w Escalonie. Mógł przed tym wydać kobiety na gwałt, a mężczyzn na tortury. Uśmiechnął się szeroko. Tak, to mogło pomóc. I mógł zacząć natychmiast.

Popatrzył z wysoka na swych doradców, setki najlepszych poddanych, którzy klęczeli przed nim ze skłonionymi głowami, bojąc się na niego spojrzeć. Wszyscy wpatrywali się w podłogę bez słowa, jak było im nakazane. W końcu było dane im przebywać w obecności żywego boga.

Odchrząknął wreszcie, by przemówić.

– Natychmiast przyprowadzić do mnie dziesięć najpiękniejszych kobiet, jakie pozostały w Escalonie – rozkazał głębokim głosem, który zadudnił echem przez komnatę.

Jeden z jego sług skłonił głowę niżej, aż dotknęła do marmurowej podłogi.

– Tak jest, Panie mój – powiedział, po czym odwrócił się i odbiegł.

Jednak gdy tylko dotarł do drzwi, te otworzyły się z trzaskiem i do środka wbiegł kolejny sługa. Natychmiast, niczym obłąkany, rzucił się biegiem w kierunku tronu. Wszyscy zebrani aż westchnęli z zaskoczenia, przerażeni tym afrontem. Nikt nie ważył się nawet wejść do pomieszczenia, a już na pewno zbliżyć się do Ra bez formalnego zaproszenia. Uczynić tak, znaczyło skazać siebie samego na śmierć.

Sługa rzucił się w pokłonie ku podłodze, zaś Ra zmierzył go wzrokiem pełnym obrzydzenia.

– Zabić go – rozkazał.

Kilku żołnierzy natychmiast ruszyło naprzód i pochwyciło mężczyznę. Odciągnęli go z powrotem, chociaż miotał się, by wreszcie krzyknąć: – Proszę, Najjaśniejszy Panie! Przybywam niosąc pilne wieści – wieści, których musisz niezwłocznie wysłuchać!

Jednak Ra nie powstrzymał strażników, dalej wlekli posłańca, nic nie obchodziły go te wiadomości. Mężczyzna szamotał się przez całą drogę do drzwi, jednak w ostatnim momencie

wykrzyknął ponownie:

– Duncan uciekł z lochu!

Ra drgnął niczym porażony, natychmiast podniósł dłoni. Jego ludzie zatrzymali się, przytrzymując posłańca u wrót.

Imperator z marsową miną namyślał się nad jego słowami. Wstał wreszcie i zaczerpnął głęboki oddech. Zszedł powoli po schodkach z kości słoniowej, powoli, jeden po drugim. Dźwięk jego obcasów rozszedł się wokół głośnym echem, gdy przemierzył długość komnaty. Kiedy w końcu stanął przed posłańcem, w pomieszczeniu zaległa napięta cisza. Ra z każdym krokiem czuł, jak wzbiera w nim dzika furia.

– Powtórz raz jeszcze – rozkazał mrocznym, tajemniczym głosem.

Mężczyzna aż wzdrygnął się z wrażenia.

– Wybacz, Najwspanialszy, Święty Panie – powiedział roztrzęsionym głosem – Duncan uciekł. Ktoś odbił go z więzienia. Nasze wojska ruszyły już za nim w pościg!

Ra poczuł jak jego twarz zlewa się czerwienią, poczuł jak buzuje w nim ogień. Zaciśnął pięści. Nie może na to pozwolić. Nie może pozwolić, by ograbiono go z ostatniego elementu pełnej satysfakcji.

– Dziękuję, że przyniosłeś mi te wieści – powiedział.

Po czym uśmiechnął się. Przez chwilę posłaniec także wydawał się rozluźniony, na jego usta także wpełzał uśmiech, pierś wypięła się dumą.

Ra *naprawdę* nagrodził go szczodrze. Jednak zaraz po tym

postąpił do przodu, oplótł powoli swe dłonie wokół jego szyi i zacisnął mocno. Oczy mężczyzny wyszły z orbit, złapał ręce swego władcy – jednak nie potrafił ich rozewrzeć. Ra doskonale wiedział, że nie będzie w stanie go powstrzymać. W końcu był zwykłym człowiekiem, zaś on był Najwspanialszym, Świętym Ra, Mężem Równym Bogom.

Nieszczęśnik padł wreszcie martwy na ziemię. To jednak nie dało mu wiele satysfakcji.

– Żołnierze! – zakrzyknął.

Jego oficerowie stanęli na baczność i spojrzeli na niego z przestachem.

– Zamknąć wszystkie wyjścia z miasta! Wysłać wszystkich zbrojnych, co do jednego, by odnaleźli Duncana. I przy okazji, zabić każdego mężczyznę, każdą kobietę i każde dziecko w całym Escalonie. NATYCHMIAST!

– Tak jest, Panie Nasz i Władco! – odpowiedzieli jego ludzie jak jeden mąż.

Każdy z nich natychmiast ruszył do wyjścia, potykając się jeden przez drugiego, by jako pierwszy, przed wszystkimi, wypełnić wolę swego pana.

Wściekły Ra odwrócił się i zaczerpnął głęboki oddech, gdy przemierzał opustoszałą komnatę z powrotem. Wyszedł wreszcie na szeroki balkon, z którego rozciągał się widok na całe miasto.

Gdy tylko wystawił głowę na zewnątrz, poczuł powiew świeżego powietrza i rozejrzał się po tonącej w chaosie stolicy. Jego żołnierze, co przyjął z radością, nadal kontrolowali

większość obszaru. Zastanawiał się, gdzie mógł podziąć się Duncan. Podziwiał go, musiał mu to przyznać, być może nawet widział w nim część siebie samego. Jednak mimo to, człowiek ten dowie się, co oznacza wchodzić w drogę Wielkiemu Ra. Nauczy się prędko, jak przyjąć śmierć bez szemrania. Nauczy się być poddanym, jak reszta świata.

Nagle zaczęły dochodzić go coraz częstsze okrzyki śmierci i agonii, spojrzał więc w dół, by zobaczyć, że jego ludzie kierują swą broń w stronę niczego nie podejrzewających cywilów: mężczyzn, kobiety i dzieci. Ulice, wedle jego rozkazu, poczęły spływać krwią. Ra westchnął, zaspokajając się tym widokiem, czerpiąc z niego satysfakcję. Wszyscy Escalończycy pojmą szybko tę naukę. Tak samo działo się w każdym kraju, który podbił. Lud zapłacił za grzechy swoich przywódców.

Nagły hałas przeciął powietrze, wznosząc się ponad wszechobecne krzyki i wybijając Ra ze wspaniałego nastroju. Nie był w stanie rozpoznać co to było, i dlaczego wstrząsnęło nim tak bardzo. Był to niski, głęboki dźwięk, coś jak odległy grzmot.

I gdy już zaczął zastanawiać się, czy usłyszał go naprawdę, zdarzył się znowu, głośniejszy. Ra zorientował się, że nie dobywa się z poziomu ulic – lecz z przestworzy.

Spojrzał więc zdumiony w górę, próbując dojrzeć cokolwiek między chmurami. Dźwięk uderzył go ponownie, i jeszcze raz, teraz był już pewien, że to nie żaden grzmot. To coś znacznie bardziej tajemniczego.

Gdy obserwował niskie, szare chmury, nagle dojrzał coś, co

wypaliło się trwałym śladem w jego głowie. Aż mrugnął w zaskoczeniu, pewny że to tylko przywidzenie. Jednak z każdym mrugnięciem przed jego oczyma stawało to samo.

Smoki. Całe stado.

Opadło na Escalon z wyciągniętymi szponami i uniesionymi skrzydłami, ziejąc strumieniami ognia. Kierując się prosto w jego stronę.

Zanim cokolwiek z tego zdołał zrozumieć, setki jego żołnierzy stanęły w płomieniach pod naporem zionących smoków, ulice napełniły się wrzaskiem umierających. Następne setki nie zdołały więcej jak stęknąć, gdy smoki rozdarły ich na strzępy.

I gdy stał tak, ogłuszony paniką i niedowierzaniem, olbrzymi smok skierował na niego swój wzrok. Wymierzył w balkon, uniósł szpony i zanurkował.

Chwilę później pazury przecięły kamienny podest na pół, mijając go o włos, gdy uskoczył w uniku. W panice poczuł, jak kamienna posadzka ustępuje mu spod nóg.

Sekundę później czuł już tylko jak opada, wyjąc i machając rozpaczliwie rękoma, prosto ku zbliżającej się ziemi. Przecież jeszcze przed chwilą czuł się nietykalny, wyniesiony ponad wszystkich wokół.

A mimo wszystko śmierć znalazła go bez pudła.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kyle ze wszystkich sił wymachiwał swoim kijem, usiłując odeprzeć atak zarówno Pandezjan, jak i coraz bardziej zbliżających się do niego trolli. Ich miecze i halabardy z brzdękiem obijały się o jego kij z taką siłą, że aż szły iskry. Tnąc na lewo i prawo powalał przeciwników jednego za drugim, czuł jednak, że z każdą chwilą coraz bardziej słabnie, a ból w ramionach staje się nie do zniesienia. Walczył od wielu godzin, a teraz otoczony był już ze wszystkich stron i jego sytuacja wydawała się być beznadziejna.

Z początku Pandezjanie i trolle walczyli przeciwko sobie, dając mu możliwość wyboru przeciwnika, z którym chciał walczyć. Teraz jednak, kiedy zorientowali się, że to on stanowi największe zagrożenie dla nich wszystkich, wyraźnie połączyli swe siły przeciwko niemu.

W momencie, gdy Kyle obracał się, by celnym ciosem powalić kolejne trolle, któryś z Pandezjan zdołał przemknąć się obok niego i ciał mieczem jego brzuch. Kyle krzyknął i zatoczył się z bólu, krwawiąc obficie. Jeden z trolli wykorzystał tę chwilę słabości, i wymierzywszy mu potężny cios w ramię, wytrącił mu kij z dłoni i powalił na ziemię.

Kyle, zdjęty bólem, klęczał bez ruchu, próbując złapać oddech. Zanim zdążył zebrać siły inny troll rzucił się do przodu i kopnął go w twarz, posyłając go na plecy.

Wtedy podbiegł do niego żołnierz Pandezji i chwyciwszy oburącz długą włócznię, zamachnął się, chcąc przebić go na wylot.

Ale Kyle nie był jeszcze gotowy na śmierć. Przeturlał się na bok, a wtedy włócznia wbiła się w ziemię tuż obok jego twarzy. Błyskawicznie wstał na nogi i sięgnął po leżący nieopodal samotny miecz, którym w następnej chwili przeciął nacierające na niego dwa trolle.

Wykonawszy unik przed kolejnym ciosem, złapał swój kij w biegu i stanął dzielnie do walki z kolejnymi napastnikami. Był jak osaczone zwierzę, które rozpaczliwie walczyło o życie. Oddychał ciężko, obserwując, jak wokół niego zacieśnia się krąg przeciwników. W ich oczach widział żądzę krwi.

Ból jego ran stawał się nie do zniesienia. Próbował go zablokować, skupić się na walce, wiedział jednak, że długo już nie wytrzyma. W obliczu nadchodzącej śmierci, pocieszał go tylko fakt, że zdołał ocalić Kyrę. A to było warte najwyższej nawet ceny.

Spojrzał na horyzont, zastanawiając się, gdzie jest teraz jego ukochana i czy jest bezpieczna. Modlił się o to z całego serca.

Kyle przez kilka godzin walczył niestrudzenie, jeden człowiek przeciwko dwóm armiom, zadawał śmierć tysiącom przeciwników. Nadszedł jednak czas, gdy zrozumiał, że jest zbyt słaby, by dalej stawiać im czoła. Było ich zbyt wielu, a wciąż nadciągali kolejni. Znalazł się w samym środku wielkiej wojny; trolle zalewały ziemię od północy natomiast Pandezja

strumieniem napływała od południa. Nie miał już sił by dłużej walczyć.

Nagle poczuł przeszywający ból, gdy troll rzucił się na niego od tyłu i sieknął go w plecy trzonkiem topora. Kyle zdołał odwinąć się i poderżnąć trollowi gardło, lecz w tym samym czasie dwaj Pandezjanie rzucili się do przodu i potężnym uderzeniem tarcz powalili go na ziemię. Już w chwili gdy upadał wiedział, że nie zdoła się podnieść.

Kyle zamknął powieki, a wtedy przed oczami przemknęło mu całe życie. Zobaczył twarze Obserwatorów, z którymi służył od wieków, widział wszystkich tych, których znał i kochał. Przede wszystkim ujrzał Kyre. Teraz żałował już tylko tego, że nigdy więcej nie będzie mu dane wziąć jej w ramiona.

Kyle spojrzał w górę na trzy ohydne trolle, które zbliżały się do niego, krok za krokiem, z uniesionymi halabardami. Wiedział, że nadszedł jego czas.

Gdy zaczęli opuszczać ostrza, wszystko nagle stało się bardziej wyraźne. Był w stanie usłyszeć szum wiatru; poczuć ostre, chłodne powietrze. Po raz pierwszy od stuleci poczuł, że naprawdę żyje. Zastanawiał się, dlaczego dopiero w obliczu śmierci zaczął doceniać życie.

Zamknął oczy i przygotował się na nadejście śmierci, gdy nagle usłyszał ryk przeszywający niebo. To wyrwało go z zamyślenia. Zamrugął i spojrzał w górę, by zobaczyć, że coś wyłania się spośród chmur. W pierwszej chwili myślał, że to anioły zstępują na ziemię, by zabrać go do siebie.

Po chwili jednak zobaczył, że stojące nad nim trolle zamierają w bezruchu i wiedział już, że to co widzi, jest prawdziwe. To było coś realnego, coś z tego świata.

Jego serce zamarło, gdy dostrzegł wreszcie, co to było.
Smoki.

Stado rozwścieczonych bestii krążyło nad nimi, zionąc ogniem w dzikiej furii. Natychmiast obniżyły lot, powalając na ziemię i rozszarpując pazurami setki żołnierzy i trolli. Z nieba spływały fale ognia, paląc żywcem wszystko i wszystkich w promieniu kilku kilometrów. Widząc zbliżające się płomienie, Kyle chwycił leżącą obok tarczę i zwinąwszy się w kłębek, schronił się pod jej miedzianą powłoką. Żar był tak intensywny, że prawie spaliło mu ręce, ale nie odpuścił. Stojące nad nim trolle padły na niego martwe, dodatkowo osłaniając go przed kolejnym atakiem. Jak na ironię, ci sami wrogowie, którzy jeszcze przed chwilą mieli odebrać mu życie, teraz ratowali go przed śmiercią.

Nie mogąc już dłużej znieść gorąca, Kyle stracił przytomność, do ostatniej chwili modląc się o to, by smoki nie obróciły go żywcem w popiół.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wezuwiusz stał na krawędzi urwiska nieopodal Wieży Kos i uśmiechał się szeroko. Patrzył z satysfakcją, jak pośród rozbijających się w dole fal Smutku wciąż unosi się para w miejscu, gdzie zatonął Ognisty Miecz. To właśnie on tego dokonał. Okradł Wieżę Kos, okradł cały Escalon z najcenniejszego artefaktu. I raz na zawsze rozproszył Płomienie.

Z podekscytowania aż kręciło mu się w głowie. Spojrzał na swoją dłoń, która wciąż pulsowała bólem, i zobaczył wypalone w niej insygnia Miecza. Przejechał palcem po świeżych bliznach. Wiedział, że zostaną tam na zawsze, by przypominać mu o jego zwycięstwie. Choć ból był paraliżujący, zmusił swój umysł do wyparcia go, a wręcz nauczył się nim rozkoszować.

Po tych wszystkich latach jego ludzie w końcu dostaną to, na co zasługują. Nie będą już więźniami Mardy, jałowej ziemi na północnych krańcach imperium, odgradzonej Płomieniami od reszty świata. Nadszedł czas odwetu. Wkrótce Escalon zostanie doszczętnie zniszczony.

Na tę myśl jego serce zabiło mocniej. Nie mógł się doczekać chwili, gdy zejdzie z Diabelskiego Palca i ruszy w głąb lądu, by tam spotkać swych towarzyszy. Cały naród trolli zbierze się w Andros, by razem wyruszyć na podbój Escalonu. Wkrótce cały ten kraj będzie należał do nich.

Lecz gdy stał tak, patrząc na fale w miejscu, gdzie zatonął

Miecz, coś nie dawało mu spokoju. Rozejrzał się po czarnych wodach Zatoki Śmierci, i zauważył coś, co sprawiło, że jego szczęście wydało się niekompletne. Na horyzoncie, gdzieś w oddali, zauważył pojedynczy, mały statek z białymi żaglami, który ciął fale wzdłuż zatoki. Płynął na zachód, oddalając się od Diabelskiego Palca. I gdy mu się tak przyglądał, wiedział, że coś było nie tak.

Odwrócił się i spojrzał na wznoszącą się obok niego wieżę. Była pusta. Jej drzwi otwarte. Miecz czekał tam na niego. Ci, którzy go strzegli, porzucili swą misję. To wszystko wydawało się zbyt proste.

Ale dlaczego?

Wezuwiusz wiedział, że pewien zabójca imieniem Merk również poszukiwał Miecza; w końcu to on doprowadził ich tutaj. Dlaczego więc miałby z niego zrezygnować? Dlaczego odpływał stąd i kim była towarzysząca mu kobieta? Czyżby to ona pilnowała Wieży? Jakich sekretów strzegła?

I dokąd teraz płyną?

Wezuwiusz spojrzał na parę unoszącą się nad oceanem, a potem znowu na horyzont. Krew buzowała mu w żyłach. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że został oszukany. Że jego zwycięstwo było tylko złudzeniem.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był pewien, że uległ podstępowi. To wszystko było zbyt proste. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że nigdy nie dowie się prawdy. Nie będzie mógł być pewien, czy wzburzone wody pochłonięły Ognisty Miecz

na wieczność. Czy jest coś, co przeoczył. Czy to w ogóle był właściwy miecz. Czy Płomienie zgasną na zawsze.

Drżąc z oburzenia, zdecydował, że nie może pozwolić im odejść. Tylko dzięki nim mógł dowiedzieć się prawdy. Czy istniała inna sekretna wieża? Inny miecz?

A nawet jeśli okazałoby się, że osiągnął swój cel, i tak nie mógł pozwolić, by ktokolwiek uszedł przed nim z życiem. Znany był z tego, że zabijał każdego, kto stanął mu na drodze. Nie mógł więc beczynn timer przyglądać się, jak ucieka przed nim dwoje ludzi. Wiedział, że za nic w świecie nie może pozwolić im odejść.

Wezuwiusz spoj rzał na dziesiątki statków wciąż przycumowanych do brzegu, opuszczonych, kołyszących się dziko na falach, jakby czekających właśnie na niego. Natychmiast podjął decyzję.

– Na pokład! – rozkazał swojej armii.

Trolle odpowiedziały okrzykiem i rzuciły się w dół skalistego brzegu, ładując się na okręty. Wezuwiusz stanął na rufie ostatniego z nich.

Odwrócił się, uniósł wysoko swą halabardę i przeciął cumę.

Chwilę później wypływał już na szerokie wody, przyglądając się, jak jego trolle przygotowują żagle do stawienia. Gdzieś tam w oddali kołysała się na falach łódź Merka i tej dziewczyny. Obiecał sobie, że nie spocznie, dopóki nie dopadnie tych dwoje.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Merk stał na dziobie niewielkiego statku i trzymając się mocno poręczy, obserwował rozciągający się przed nim horyzont. Obok niego stała córka dawnego króla, Tarnisa, także zagubiona we własnych myślach. Merk wpatrywał się w czarne wody Zatoki Śmierci gęsto usiane białymi grzywami ogromnych fal i zastanawiał się, kim naprawdę była jego towarzyszka. Miał do niej tak wiele pytań. Odkąd opuścili Wieżę Kos i wyruszyli na tym statku w nieznane, otaczająca ją tajemnica z każdą chwilą pogłębiała się.

Córka Tarnisa. Wciąż trudno mu było w to wierzyć. Co robiła na tym odległym krańcu Diabelskiego Palca? Czyżby ukrywała się przed kimś? A może przebywała tam na wygnaniu?

Merk wyczuwał, że nie była tej samej rasy co on. Ale w takim razie kim była jej matka? Dlaczego sama pozostała na straży Ognistego Miecza i Wieży Kos? Gdzie podzieli się wszyscy inni ludzie?

Ale najbardziej ciekawiło go jedno: dokąd go teraz zabiera?

Jedną ręką trzymając ster, kierowała okręt w głąb zatoki do jakiegoś tajemniczego miejsca.

– Nadal nie powiedziałaś mi, dokąd zmierzamy – jego doniosły głos przedarł się przez szum wiatru.

Nastąpiła długa cisza, tak długa, że Merk stracił nadzieję na odpowiedź.

– W takim razie przynajmniej zdradź mi swoje imię – zażądał, zdając sobie sprawę, że nawet jego nie zna.

– Lorna – odpowiedziała.

Lorna. Podobało mu się to imię.

– Trzy Sztylety – dodała, zwracając się do niego – To tam płyniemy.

Merk zmarszczył brwi.

– Trzy Sztylety? – zapytał zaskoczony.

Ona tylko patrzyła przed siebie.

Merk był wstrząśnięty tą wiadomością. Najbardziej odległe wyspy całego Escalonu, Trzy Sztylety, leżały tak głęboko w Zatoce Śmierci, że nie znał nikogo, kto kiedykolwiek by tam dotarł. Na ostatniej z nich leżał Knossos, legendarny fort, o którym mówiło się, że jest domem dla najbardziej zaciekle wojowników Escalonu. Ci ludzie żyli na odległej wyspie, otoczonej najniebezpieczniejszymi wodami świata. Mówiło się o nich, że są tak gwałtowni i bezwzględni jak to morze. Merk nigdy nie spotkał żadnego z nich. Nie był nawet pewien, czy ci ludzie istnieją naprawdę.

– Czy twoi Obserwatorzy wycofali się właśnie tam? – zapytał.

Lorna skinęła głową.

– Czekają tam na nas – powiedziała.

Merk obejrzał się przez ramię, chcąc po raz ostatni popatrzeć na Wieżę Kos, i gdy to zrobił, jego serce zamarło. Na horyzoncie dostrzegł dziesiątki okrętów pod pełnymi żaglami, płynące w ich kierunku.

– Mamy towarzystwo – powiedział.

Lorna, ku jego zaskoczeniu, skinęła tylko głową, nie odwracając się nawet.

– Będą nas gonić aż po krańce ziemi – powiedziała spokojnie. Merk był zbity z tropu.

– Mimo że dostali Ognisty Miecz?

– Im nigdy nie chodziło o Miecz – poprawiła go – Ich celem jest zniszczenie. Zniszczenie nas wszystkich.

– A jeśli nas złapią? – zapytał Merk – Nie możemy sami walczyć przeciwko armii trolli. Nie damy im rady nawet z pomocą wysepki pełniej wojowników. Bez względu na to, jak waleczni nie byłiby to ludzie.

Przytaknęła, nadal niewzruszona.

– Masz rację, istnienie niebezpieczeństwo, że zginiemy – odpowiedziała – Umrzemy jednak wśród naszych towarzyszy, Obserwatorów, razem z nimi walcząc o prawdę. Jest jeszcze wiele tajemnic, które trzeba nam chronić.

– Jakich tajemnic? – zapytał.

Ona jednak zamilkła i wlepiła wzrok w wodę.

I gdy już miał ponowić swoje pytanie, potężny szkwał przechylił łódź tak gwałtownie, że Merk przewrócił się i zaczął staczać po śliskim pokładzie prosto w bezkresne odmęty oceanu.

W ostatniej chwili jedną ręką chwycił reling i zawisł do połowy zanurzony w lodowatej wodzie. Serce skoczyło mu do gardła, gdy obejrzawszy się przez ramię, zobaczył wyłaniające się nagle z wody czerwone płetwy rekinów. Wtedy poczuł

przerażający ból w nodze i zobaczył, jak woda wokół czerwieni się jego krwią.

Lorna skoczyła do burty, a gdy zanurzyła w wodzie swój kij, z którego nagle wypłynęło białe światło, stado krwiożerczych bestii natychmiast rozproszyło się. W chwilę potem chwyciła go za ramię i jednym ruchem wciągnęła z powrotem na pokład.

Merk padł na deski półprzysłone, mokry i przemarznięty, z nogą szarpaną straszliwym bólem.

Gdy łódka wreszcie wyprostowała się, Lorna przyklękła przy nim i zbadawszy ranę, oderwała kawał materiału ze swojego odzienia, by zatamować krwawienie.

– Uratowałaś mi życie – powiedział pełen wdzięczności – Były ich dziesiątki. Z pewnością by mnie pożały.

Spojrzawszy na niego swoimi wielkimi, hipnotyzującymi oczami, powiedziała:

– Tutaj, te stworzenia to twój najmniejszy problem.

Dalej płynęli w milczeniu. Merk obserwował horyzont, tym razem obiema rękoma trzymając się relingu. Bez względu jednak na to, jak bardzo wyteżał wzrok, nie mógł nigdzie dostrzec ani śladu Trzech Sztyletów. Z szacunkiem i strachem spojrzał w wody Zatoki Śmierci i natychmiast zauważył ukrywające się wśród fal stada rekinów. Teraz wiedział już na pewno, że zetknięcie z tą wodą oznaczało śmierć. Mimowolnie zastanawiał się, jakie inne jeszcze stworzenia zamieszkują te głębiny.

Po wielu godzinach wsłuchiwania się w ciszę przerywaną jedynie podmuchami wiatru, Merk w końcu zapragnął usłyszeć

czyjś głos.

– To, co zrobiłaś swoim kijem – zagadnął do Lorny – Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

Lorna nie zareagowała, jakby nie dosłyszała.

– Opowiedz mi o sobie – nalegał.

Spojrzała na niego, po czym znowu odwróciła wzrok.

– Co chcesz wiedzieć? – spytała.

– Wszystko – odparł – Cokolwiek.

Zamilkła na długo, w końcu powiedziała:

– Najpierw ty.

Merk spojrzał na nią zdziwiony.

– Ja? – zapytał zmieszany – Co chcesz wiedzieć?

– Opowiedz mi o swoim życiu – poprosiła – Tyle, ile chcesz mi powiedzieć.

Merk wziął głęboki oddech i w zadumie spojrzał w dal. Jego życie było jedną rzeczą, o której nie chciał mówić.

Wreszcie, zdając sobie sprawę, że mają jeszcze długą drogę przed sobą, westchnął. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał zmierzyć się ze swoją przeszłością, nawet jeśli miało to sprawić mu ból.

– Przez większość życia byłem zabójcą – powiedział grobowym głosem, pełnym żalu i wstrętu do samego siebie – Nie jestem z tego dumny. Ale byłem najlepszy w tym, co zrobiłem. Służyłem królom i królowym. Nikt nie mógł równać się ze mną.

Merk zadumał się nad swoim życiem, życiem, którego żałował, nad wspomnieniami, których nie chciał przywoływać.

– A teraz? – zapytała cicho.

Merk poczuł ulgę, nie słysząc cienia krytyki w jej głosie.

– Teraz – powiedział – skończyłem z tym. Nie jestem już tą samą osobą. Obiecałem sobie wyrzec się przemocy. Wykorzystać swe umiejętności w szczytnym celu. Bez względu jednak na to jak bardzo się staram, nie mogę uciec od przemocy. Ona wszędzie mnie znajduje. Zdaje się, że zawsze jest jakiś powód do walki.

– A co to za cel? – spytała.

Zamyślił się nad odpowiedzią.

– Początkowo moim celem było dołączenie do Obserwatorów – odpowiedział – Pragnąłem poświęcić się służbie. Strzec Wieży Ur i chronić Ognistego Miecza. A gdy ta upadła, czułem, że moim celem jest dotrzeć do Wieży Kos, by ocalić Miecz.

Westchnął.

– A zamiast tego żeglujesz przez Zatokę Śmierci w kierunku samotnych wysp leżących na końcu świata, ścigany przez trolle, które przejęły Miecz – zauważyła Lorna z uśmiechem.

Merk zmarszczył brwi niepokieszony.

– Straciłem swój cel – powiedział – Powód mojego istnienia. Nie wiem już kim jestem, ani po co żyję.

Lorna skinęła głową.

– Masz szczęście. Ta niepewność otwiera przed tobą nowe możliwości.

Merk był wzruszony jej słowami. Dotąd słyszał od ludzi wyłącznie krytykę.

– Nie osądzasz mnie – zauważył – za to kim jestem.

Lorna spojrzała na niego, a oczy miała błyszczące niczym dwa księżycy.

– Za to, kim *byłeś* – poprawiła go – Nie zaś za to, kim jesteś teraz. Jak mogę osądzać człowieka, którego nie znałam? Dla mnie liczy się tylko to, kim jesteś teraz.

Jej odpowiedź go urzekła.

– A kim jestem? – zapytał, sam nie będąc już niczego pewien.

Wpatrywała się w niego.

– Widzę znakomitego wojownika – odpowiedziała – Bezinteresownego człowieka. Mężczyznę, który pragnie pomagać innym. Człowieka przepełnionego tęsknotą. Zagubionego. Który nigdy tak naprawdę nie poznał samego siebie.

Merk rozważał w duchu jej słowa. Czuł, że wszystkie były prawdziwe. Zbyt prawdziwe.

Długa cisza zapadła między nimi, gdy ich niewielki statek kołysał się w górę i w dół na wzburzonych falach, powoli torując sobie drogę na zachód. Po piętach wciąż deptała im flota Mardy, zbliżając się do nich coraz bardziej.

– A ty? – zapytał w końcu – Jesteś córką Tarnisa, prawda?

Uciekła wzrokiem w bok, kryjąc przed nim zaczerwienione oczy.

– Tak, to prawda – przytaknęła w końcu.

– Co cię tu zatem przywiodło? – zapytał.

Westchnęła.

– Ukrywano mnie tutaj odkąd byłam małą dziewczynką.

– Ale dlaczego? – dopytywał.

Wzruszyła ramionami.

– Przypuszczam, że w stolicy groziło mi niebezpieczeństwo. Nikt nie mógł wiedzieć, że jestem nieślubną córką króla. Tu byłam bezpieczniejsza.

– Bezpieczniejsza? Tutaj? – z trudem mógł w to uwierzyć – Na końcu świata?

– Strzegłam tutaj tajemnicy – wyjaśniła – większej nawet niż królestwo Escalonu.

Serce waliło mu jak oszalałe, gdy zastanawiał się, co to mogło być.

– Czy możesz mi ją zdradzić? – zapytał niepewnym głosem.

Wtedy Lorna powoli odwróciła się i wskazała na punkt wynurzający się zza horyzontu. Tam, w oddali, Merk dostrzegł trzy samotne wyspy wznoszące się nad oceanem. Było to najbardziej odizolowane, a zarazem najpiękniejsze miejsce, jakie Merk kiedykolwiek widział. Nie miał wątpliwości, że tam właśnie skrywane były wszystkie tajniki magii i mocy.

– Witaj – powiedziała Lorna – na Knossos.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Duncan biegł samotnie przez ulice Andros. Obtarte kostki i nadgarstki sprawiały, że kuśtykał, chociaż tętniąca w jego żyłach adrenalina pomagała mu ignorować ból. Myślał tylko o jednym: by uratować Kyrę. Jej wzywający pomocy krzyk wciąż obijał się echem w jego głowie, w jego duszy, dzięki niemu zapominał o własnych ranach i pędził ile sił, zlewając się potem.

Parł przed siebie poprzez kręte uliczki stolicy, wiedział dobrze, że jego córka była gdzieś za jednym z grubych, kamiennych murów. Wszędzie wokół pikowały smoki, podpalając jedną ulicę po drugiej, sprawiając, że od ścian bił żar wyczuwalny nawet mimo to, że ogień szalał po drugiej stronie. Modlił się tylko o to, by żaden z nich nie zdecydował się przelecieć nad jego uliczką – to oznaczałoby koniec.

Pomimo bólu nie zatrzymał się ani na chwilę. I nie zawrócił. Po prostu nie mógł. Do przodu pchał go instynkt ojcowski, nie był w stanie podążać w innym kierunku niż ten, z którego dochodził głos jego córki. Przeszło mu przez myśl, że biegnie na śmierć, tracąc jakiegokolwiek szanse wydostania się stąd żywym, jednak nie zwolnił nawet trochę. Jego dziecko było zagrożone, tylko to się teraz liczyło.

– NIE! – doszedł go krzyk.

Wszystkie włosy na karku stanęły mu dęba. Znów usłyszał, jak wzywa pomocy, jego serce skoczyło w bolesnym skurczu na

ten dźwięk. Przyspieszył kroku, dając z siebie wszystko, i skreślił za kolejny róg.

Gdy zanurkował w nisko sklepione przejście, po drugiej stronie wreszcie niebo otworzyło się przed nim szeroko.

Znalazł się na otwartym dziedzińcu i z jego krańca ujrzał wstrząsający widok. Druga strona placu pełna była ognia, którym ziały smoki krążące powyżej, a pod kamiennym parapetem, ledwo chroniącym od śmiertelnośnego żaru, siedziała jego córka.

Kyra.

To była ona, cała i zdrowa.

Jednak jeszcze większym szokiem niż zobaczyć ją tu żywą, było ujrzeć smocze dziecko leżące obok niej. Duncan wlepił w nich oczy, nic nie rozumiejąc. W pierwszej chwili stwierdził, że Kyra starała się zabić smoka, który opadł na nią z nieba. Jednak po chwili zauważył, że bestia była przygwożdżona do ziemi przez wielki kamień. Ze zdumieniem patrzył, jak jego córka z całej siły napierała na głaz. Zastanawiał się co próbowała osiągnąć. Uwolnić smoka? Tylko czemu?

– Kyro! – wrzasnął.

Po czym rzucił się przez podwórzec, mijając kolumny ognia i unikając smoczych szponów, aż dotarł wreszcie do jej boku.

Gdy tylko pojawił się przed nią, Kyra spojrzała na niego zszokowana. W chwilę później na jej twarzy wykwitła dzika radość.

– Ojczy! – wykrzyknęła.

Skoczyła mu w ramiona, Duncan otoczył ją w uścisku, który oddała z całą mocą. Gdy tylko padli sobie w objęcia, poczuł się jak nowonarodzony, jakby część jego duszy wróciła na swoje miejsce.

Łzy radości popłynęły mu po policzkach. Ledwie był w stanie uwierzyć, że napotkał ją właśnie tutaj, żywą.

Ściskali się tak przez chwilę, Duncan upewnił się, że nie jest ranna, że wszystko z nią w porządku.

Po chwili jednak przypomniał sobie o zagrożeniu, odepchnął ją, odwrócił się do smoka, wyciągnął miecz i uniósł go wysoko, by odrąbać mu głowę, by chronić swoje dziecko.

– Nie! – usłyszał wtedy jej krzyk.

Zbiła go z tropu, rzucając się do przodu i chwytając jego nadgarstek w zaskakująco mocnym uścisku, który zatrzymał jego cios. Nie była już potulną córką, którą zostawił dawno temu w Volis; zdążyła wyrosnąć z niej wojowniczką.

Duncan zmierzył ją zaskoczonym wzrokiem.

– Nie rób mu krzywdy – rozkazała pewnym, władczym głosem – Theon jest moim przyjacielem.

Wpatrywał się w nią dalej, zupełnie ogluszony.

– *Przyjacielem?* – spytał – Ten smok?

– Proszę, ojciec – powiedziała – nie mamy czasu na wyjaśnienia. Pomóż nam. Przygwoździł go kamień. Nie dam rady ruszyć go sama.

Duncan, mimo że nic nie rozumiał, zdecydował się jej zaufać. Schował miecz i podszedł do niej, by z całej siły popchnąć skałę.

Jednak pomimo ich wysiłków, kamień ledwie drgnął.

– Jest zbyt ciężki – stwierdził – Nie dam rady. Przykro mi.

Nagle usłyszeli za sobą chrzęst zbroi. Duncan odwrócił się i z radością ujrzał zbliżających się Aidana, Anvina, Cassandrę i Białego. Wrócili po niego, po raz kolejny ryzykując życiem.

Wszyscy bez wahania podbiegli do głazu, i zaczęli pchać.

Przetoczyli go kawałek, nadal jednak za mało, by zrzucić go zupełnie.

Duncan znów spojrzał za siebie, gdy doszły go odgłosy sapania, by zobaczyć jak Papug dobiega wreszcie spóźniony, ledwie łapiąc oddech. Dołączył do nich i także oparł się o głaz – który wreszcie zaczął się toczyć. Aktora, brzuchatego błazna najmniej spodziewał się ujrzeć, jednak to jego obecność przeważała, by udało się zrzucić kamień ze smoczego grzbietu.

Wystarczyła tylko chwila wysiłku i głaz wylądował na bruku z trzaskiem, podnosząc w powietrze kłęb pyłu. Smok był wolny.

Theon natychmiast skoczył na nogi i zaryczał, stając dęba i wyciągając szpony. Spoglądał w niebo w dzikiej furii. Zostali zauważeni przez wielkiego, purpurowego smoka, który zanurkował prosto na nich, jednak Theon bez chwili wahania skoczył w górę z otwartymi szeroko szczękami, wzleciał prosto w niebo i zacisnął zębiska na miękkim podgardlu zaskoczonej bestii.

Chwycił tak mocno, ile tylko miał siły. Wielki potwór zawył ze złości, wytracony z równowagi, ewidentnie nie podejrzewał, że cokolwiek grozi mu ze strony smoczego dziecka. Złączone w

śmiertelnym uścisku bestie wreszcie spadły, obalając kamienny mur po przeciwległej stronie dziedzińca.

Wszyscy spoglądali po sobie z zaskoczeniem, obserwując jak Theon szarpie się ze znacznie większym od siebie smokiem, przytrzymując go po drugiej stronie podwórza. Smoki wiły się i rzucały sapiąc wściekle, a Theon wciąż zaciskał szczęki, dopóki jego przeciwnik nie padł bez życia.

Wreszcie mogli odetchnąć na moment.

– Kyra! – wykrzyknął Aidan.

Dziewczyna odwróciła wzrok od nieba i zauważyła młodszego brata, Duncanowi miło było oglądać jak radośnie padają sobie w objęcia. Kyra przytuliła chłopca w uścisku, do którego dołączył Biały, liżąc dziewczynę po rękach i podskakując wesoło.

– Braciszku mój – Kyra zlała się łzami – Ty żyjesz!

W jej głosie usłyszał wielką ulgę.

Jednak oczy Aidana nagle skłoniły się smutno.

– Brandon i Braxton nie żyją – oznajmił Kyrze.

Dziewczyna zupełnie zbladła. Odwróciła się i spojrzała na Duncana, ten zaś skinął głową w smutnym potwierdzeniu.

Wtem Theon podleciał w górę i wylądował przed nimi, machając skrzydłami i wskazując Kyrze, by wdrapała się na jego grzbiet. Duncan gdzieś wysoko usłyszał dzikie porykiwania, gdy zaś uniósł wzrok, zobaczył krążące wyżej bestie, gotowe do ataku.

Ku jego zaskoczeniu Kyra gładko dosiadła swego smoka. Spoglądał na nią przez chwilę, siedzącą dumnie na grzbiecie

śmiercionośnej bestii w naturalnej pozie wielkiej wojowniczkii. Nie pozostało w niej wiele z małej dziewczynki, którą niegdyś była, teraz siedziała przed nim silna kobieta, zdolna poprowadzić armię do bitwy. Nigdy wcześniej nie czuł się aż tak dumny.

– Nie mamy czasu. Chodźcie wszyscy – powiedziała – Wskakujcie za mną.

Spojrzeli po sobie w zaskoczeniu, Duncan poczuł gulę w brzuchu na samą myśl o jeździe na smoku, szczególnie że jego rozwścieczony pysk sapał zaraz nad jego głową.

– Szybko! – powtórzyła Kyra.

Duncanowi wystarczyło tylko rzucić okiem na opadającą na nich chmurę bestii, by wiedzieć, że nie mają wyboru, ruszył więc pierwszy. Pospieszył razem z Aidanem, Anvinem, Papugiem, Cassandrą, Septinem i Białym, wszyscy skoczyli na grzbiet smoka.

Schwycił się twardych łusek, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie robi. To było jak sen.

Z całej siły trzymał się, gdy bestia uniosła ich w niebo. Żołądek podszedł mu do gardła, uczucie było nieprawdopodobne. Po raz pierwszy w życiu szybował w przestworzach.

Theon był szybszy niż jego pobratymcy, leciał niewiele wyżej jak poziom ulic, skręcając się i wijąc tak prędko, że reszta smoków nie była w stanie sięgnąć go pośród chaosu i dymu nad stolicą. Duncan spojrzał w dół, by w zadziwieniu zobaczyć miasto z góry, dachy budynków i kręte uliczki układające się pod

nim niczym labirynt.

Duncan był bardzo dumny z córki, która sterowała Theonem z wielką wprawą. W przeciągu kilku chwil byli wolni, pod otwartym niebem, poza murami miasta, szybowali ponad polami i łąkami.

– Musimy kierować się na południe! – wykrzyknął Anvin – Ku skałom zaraz poza granicami miasta. Nasi ludzie właśnie tam nas oczekują! Tam właśnie mieli się wycofać.

Kyra pokierowała Theonem, po chwili lecieli już w odpowiednim kierunku, w stronę skał widocznych na horyzoncie. Duncan ujrzał przed sobą setki masywnych skał, upstrzonych niewielkimi plamkami jaskiń, leżały na południe od miejskich murów.

Gdy się zbliżali, dojrzał w pieczarach błyski zbroi i broni, ciężar spadł mu z serca na widok setek ludzi oczekujących go w umówionym miejscu.

W końcu Kyra nakazała smokowi, by obniżył lot i wylądowali przed wejściem do ogromnej groty. Tym wyraźniej Duncan mógł dostrzec strach na twarzach ludzi poniżej, im bardziej bestia zbliżała się do nich. Żołnierze szykowali się do odparcia ataku, jednak gdy dostrzegli wreszcie Kyrę i innych na grzbiecie jaszczura, opuścili broń, zupełnie zszokowani.

Duncan zsiadł ze swojego wierzchowca wraz z całą resztą, i pobiegł, by przywitać się ze swoimi ludźmi, rozradowany faktem, że znów dane mu jest widzieć ich żywych. Na jego spotkanie wybiegli Kavos z Bramthosem, Seavig i Arthfael, ludzie, którzy

ryzykowali dla niego życiem, których nie miał już nadziei więcej zobaczyć.

Po chwili odwrócił się i zobaczył Kyrę, z zaskoczeniem stwierdził, że ta nie zsiadła ze smoczego grzbietu.

– Dlaczego wciąż tam siedzisz? – spytał – Nie dołączysz do nas?

Ale dziewczyna nie poruszyła się, wyprężona w dumnej postawie, pokręciła tylko smutno głową.

– Nie mogę, ojcze. Mam poważne zadanie do wykonania.

Duncan spojrzał na nią zdumiony tym, że jego córka zmieniła się w tak silną wojowniczkę.

– Gdzie? – spytał – Gdzie czekają cię sprawy pilniejsze, niż tutaj?

Zawahała się.

– W Mardzie – odpowiedziała wreszcie.

Duncana aż przeszedł dreszcz na dźwięk tego słowa.

– W Mardzie? – westchnął z zaskoczeniem – Ty? Sama? Przecież nie powrócisz z tej wyprawy!

Kiwnęła głową; poznał w jej oczach, że doskonale o tym wiedziała.

– Poprzysięgłam udać się tam – odparła – więc teraz nie mogę porzucić mojej misji. Jesteście już bezpieczni, muszę teraz powrócić do swojego obowiązku. Czy nie uczyłeś mnie, ojcze, że obowiązek należy spełnić ponad wszystko?

Duncan, usłyszawszy te słowa, poczuł jak serce rośnie mu z dumy. Postąpił ku niej, sięgnął w górę i wziął w objęcia, ściskając

mocno, podczas gdy jego ludzie gromadzili się wokół.

– Kyro, córko moja. Jesteś najpiękniejszą częścią mojej duszy.

Zobaczył jak jej oczy wilgotnieją łzami, jednak skłoniła tylko głowę w odpowiedzi. Była silniejsza, twardsza, uczucia nie rządziły nią tak jak kiedyś. Kopnęła lekko swojego wierzchowca obcasem, Theon natychmiast wzniósł się w powietrze. Po chwili leciała już przed siebie na jego grzbiecie w dumnej pozie, coraz wyżej i wyżej, pod samo niebo.

Duncan poczuł, jak jego serce pęka na ten widok, odprowadził ją wzrokiem ku północy, w stronę czarnej Mardy, zastanawiając się czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kyra pochyliła się jeszcze bardziej do przodu i mocniej ścisnęła łuski Theona. Wiatr rozwiewał jej włosy, gdy szybowali tak nad ziemiami Escalonu, przelatując właśnie przez kolejną chmurę. Jej wilgotne dłonie trzęsły się z zimna, ale ona nie dbała o to. Była właśnie w drodze do Mardy i nic nie mogło jej już zatrzymać.

Jej myśli wciąż krążyły wokół ostatnich wydarzeń. Z uśmiechem na ustach i ulgą w sercu przypominała sobie swego ojca, który bezpiecznie opuszczał Andros w asyście zaufanych ludzi. Choć tak wiele razy ostrzegano ją przed próbą dotarcia do niego, ona nie poddała się, czując w głębi serca, że jej potrzebuje. Była to dla niej cenna lekcja, by zawsze ufać instynktowi, bez względu na to, co mówią inni.

Gdy dłużej się nad tym zastanowiła, zdała sobie sprawę, że to właśnie był powód, dla którego Alva ją ostrzegał: to był sprawdzian. Wmawiał jej, że umrze, jeśli wróci po ojca, bo chciał sprawdzić jej determinację i odwagę. Przez cały ten czas wiedział, że przeżyje. Chciał zobaczyć, czy stanie do walki nawet wtedy, gdy będzie przekonana, że idzie na śmierć.

Na myśl o ojcu, który gotów był poświęcić dla niej wszystko, jej serce napełniło się radością. To właśnie on pojawił się w chwili, gdy najbardziej go potrzebowała. Gdyby nie jego pomoc, Theon nadal leżałby przygnieciony głazem, a ona z pewnością

byłaby już martwa. Łzy szczęścia napłynęły jej do oczu, gdy przypomniała sobie, jak bohatersko stawiał czoła płomieniom i smokom, by ją ocalić.

Kyra uśmiechnęła się na myśl o swym młodszym bracie, Aidanie. Była szczęśliwa, że żyje i jest bezpieczny. Pomyślała też o swych dwóch zmarłych braciach i wtedy smutek ścisnął jej serce. Żałowała, że nie mogła tam być, by ich ochronić.

Zastanawiała się też, co stanie się z Andros, czy kiedykolwiek powróci do dawnej świetności? Czy dla Escalonu jest jeszcze ratunek?

Tyle wydarzyło się w ciągu ostatnich dni, że Kyra ledwo mogła objąć to swym rozumem. Wydawało się, że jedynym pewnikiem w tych burzliwych czasach, jest ciągła zmiana i niepewność.

Kyra próbowała skupić się na przyszłości, na misji, której teraz musiała poświęcić się bez reszty. Lecąc w kierunku Mardy czuła, że znowu ma cel w życiu. Za wszelką cenę musiała odnaleźć Berło Prawdy. Gdy znów wyłoniła się spośród chmur, spojrzała w dal w poszukiwaniu Płomieni, granicy, która oddzielała ją od tej zakazanej krainy. Ze smutkiem patrzyła na pokryty bliznami krajobraz w dole, na spaloną ziemię i zrujnowane miasta. Jej ukochana ojczyzna została doszczętnie zniszczona przez armie Pandezjan i trolli oraz przez rozwścieczone smoki. Ledwie była w stanie rozpoznać miejsca, które niegdyś znała i kochała.

Z trudem mogła w to wszystko uwierzyć. Jak można było

dokonać tak niewyobrażalnego zniszczenia w tak krótkim czasie. Nie mogła przestać myśleć o tym, co stałoby się, gdyby tamtej śnieżnej nocy nie spotkała rannego Theosa. Czy los Escalonu byłby wtedy inny?

A może był on z góry przesądzony? Zastanawiała się, czy to ona była odpowiedzialna za to wszystko, co stało się z jej krajem? A może była tylko narzędziem w rękach przeznaczenia? Może to wszystko po prostu miało się wydarzyć i ona nie miała na to żadnego wpływu?

Z całego serca pragnęła pozostać tutaj, w Escalonie, by chronić swą ojczyznę przed Pandezją i trollami. Zmusiła się jednak, by spojrzeć przed siebie i skupić na powierzonych jej misji.

Kyra zadrżała na myśl o miejscu, do którego zmierzała. Wiedziała, że jest to podróż w samo jądro ciemności. Marda od zawsze była krainą owianą legendą, do której nawet najdzielniejsi z wojowników nie odważyli się wejść. To gniazdo zła odcięte zostało od reszty świata nie bez przyczyny. Wciąż trudno jej było uwierzyć, że to właśnie tam miało dokonać się jej przeznaczenie.

Wiedziała, że to czyste szaleństwo. A jednak posłała ją tam jej własna matka, musiała więc mieć ku temu ważne powody. Kyra sama wyczuwała, że jest tam potrzebna, że ta wyprawa to dla niej ostateczny sprawdzian. Tam właśnie ukryte było Berło Prawdy i tylko ona mogła je odzyskać. Najdziwniejsze było to, że czuła jak Berło wzywa ją do siebie, czeka na jej przybycie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.